

# REKRUT.

napisał

**Jot. Ka. Er.**



Była to jedna z owych cudownych nocy górskich. Ciemne szafiry niebios złociły się milionami gwiazd, a błądy księżyc oblewał smutnem światłem turnie tatrzańskie. Cicho było i martwo, szare osuszone granity drzemały, ukołysane szumem starych buków i świerków. Może one śniły o dawnych, lepszych czasach... Na dole tylko srebrne potoki pienily się i huczały, pędząc do Dunajca. Cicho było i martwo: w taką noc góral mimowoli ogląda się, czy gdzie pośród drzew nie błysnie światełko brodatego mnicha, a góralka żegna się ze strachem przed dziwożoną w czerwonej czapeczce.

Na kraju lasu stała chata góralska, zasłonięta od wichrów konarami olbrzymiego jaworu. Na małej ławeczce u stóp drzewa siedziała młoda dziewczyna, a obok niej góral dwudziestoletni.

W księżycowem oświetleniu malowały się wyraźnie ich postacie: ona była brunetką z delikatnemi rysami twarzy i szafrowemi oczyma, chłopiec zaś smukły i bujny, jak jodła, a według góralskiego porównania, jak buk, miał jasne, długie włosy, rzymski nos i bystre błękitne oczy, które twarzy jego nadawały wyraz orlej dumy. Trzymał jedną ręką w pól dziewczynę i mówił:

— Tak wej moja Maryś musi być. Musę iść do światu; Pan Bóg wie, cy się wrócę kiedy?“

Jakby na odpowiedź z daleka doleciała ich śpiewka rekrutów

„Kie my se pudziemy bez te cyste hory,  
Zna se sam Pan Bóg, cy się wrócim wtory?“

Dziewczyna otarła łzy rękawem od koszuli i rzekła:

— Ej Jasiu, Jasiu serdecny, będzie mi też serce płakało za tobą. Cobyś przynajmniej wrócił się kiedy...

— Ty bo się ta wnet pociesysz — mówił Jasiek — dość tu śwarnych chłopców po wsi; ale mnie to się strasznie będzie cniło przez ciebie.

Dziewczyna wstrząsnęła głową:

— Nie gadaj Jasiu po próżnicy. Choćby tu jacy ślicni przychodzili, nie będę ich chciała.

W tej chwili od strony wsi dobiegł rozmawiających tęskny, dziki ton Sabadowych <sup>1)</sup> gęślików i ulubiona jego nuta:

„Hej! z orawskiego zamku chłopcy spozierają,

Cy się po pod Tatry bucki rozwijają?“

— Będzie mi się też cniło i za temi gęślikami i za temi górami wysokimi i za ludźmi swoimi — rzekł smutnie Jasiek — ale darmo, trza iść. Marysia załamała ręce. A pod zielony, stary jawór przyleciała znowu Sabadowa nuta:

„Hej! z orawskiego zamku chłopcy masierują,

A dziewczęta płacą, rączki załamują.“

W dali, w ciszy ginęły staroświeckie, przeciągłe, dzikie tony Sabadowych gęśli, które tyle umieją wygrać nut z jaśniejszej, lepszej przeszłości góralskiej.

Wtem drzwi skrzypnęły i z wnętrza chaty ozwał się głos kobiecy.

— Maryś, chodź do domu.

— Idę matulu zaraz — odparło dziewczę.

Zarzuciła chłopcu ręce obie na szyję i płacząc, mówiła:

— O mój Jasiu kochany, złoty, nie zabacaj o mnie i niech cię Matka Boska prowadzi.

— Ostań z Bogiem moja Maryś serdecna.

Rozeszli się — może na zawsze?

A stary jawór kołysał się w lekkim wietrze i szumiał, jak przedtem. Ciekawsze on może widział rzeczy, jak pożegnanie Marysi z Jaśkiem? Może kiedyś, w cieniu jego konarów spoczywał hetman zbójecki Janosik z dwunastu swymi towarzyszami? Może zakopali kiedy pod nim dukatów złotych kociołek, zdobyty na

<sup>1)</sup> Sabadą zwany Jan Krzeptowski, słynny strzelec na niedźwiedzie i muzyk.

węgierskich dziedzinach? Stary był bardzo, musiał wiele pamiętać...

Jaśkowi nie chciało się iść do karczmy, smutno mu było i ciężko, myślał zresztą, że może Marysia wyjdzie jeszcze z chaty. Zawinął się więc w czuszkę i oparł o pień jaworu. Noc była ciepła i cicha; powoli jednostajny szum wody, zdającej się w blasku księżyca płynącym kryształem i srebrem, i szmer jaworowych liści poczęły go usypiać. W pobudzonej jego wyobraźni zaczęły się roić dziwne obrazy. Zdawało mu się, że smereczki młode, posadzone koło chaty, jako zasłona od wiatrów, przybierają kształty ludzkie; ze smereczków utworzyły się postacie zbrojnych i strojnych dwunastu towarzyszy Janosika i on sam w czerwonym, złotem naszywanem odzieniu, bujny i piękny na ich czele. Wyciągał ku Jaśkowi rękę ze srebrnym pucharem i mówił: „Przystań ku nam“. Jasiek wziął puchar, wypił i za chwilę ujrzał się w Kościeliskach, w zbójeckiej grocie.

W koło niego ciż sami zbrojni i strojni siedzieli zbójcy. Janosik sparłszy się jedną nogą na kamieniu grał na fujarce liptowski nuty; u nóg jego stały kociołki pełne złotych dukatów i srebrnych, węgierskich talarów.

Nagle w rozmarzonych oczach Jaśka zmienił się Gewont w mur wysoki i długi, lasy czarne po reglach w wojsko, a jawór, pod którym siedział, w szubienicę. Pod szubienicą stał Janosik zboczony krwią, ale śmiało i dumnie patrzący przed siebie, z fajką w ustach. Dwunastu jego towarzyszy i sam Jasiek siedzieli na ziemi zakuci w okowy. Czuł je Jasiek przez sen na rękach i nogach, zdawało mu się, że Tatry się chwieją i lasy gną od grozy; do uszu jego doleciała piosenka, która, jak mu się wydawało, Janosik, „hetman“ zbójecki, król Tatrów, zaśpiewał, jakby chciał, aby mu raz ostatni echem granity i lasy się odezwały:

„Bratowie, bratowie, kochani bratowie,  
Budom nam rubali głowicki katowie.“

Ta piosenka, w istocie śpiewana przez rekrutów, wybierających się w drogę, obudziła Jaśka. Sen zniknął, ale zostało po nim dziwne wrażenie; wstając z ławeczki pod jaworem, przeżegnał się chłopiec i mimowoli dreszcz go przebiegł.

Dniało już: słońce czerwieniło się i złościło i oblewało purpurą wierzchy wysokie, a po lasach grało światło jakieś zielonawo-złote i leciało smugami po reglach. Budziło się wszystko: tatrzań-

skie jastrzębie zrywały się do lotu, gdzie niegdzie pasterze poczynali już śpiewać i dzwonki bydła wygnanego na pastwiska dźwięczały w czystym powietrzu. Świat cały podgórski pachniał świeżością, czarował pięknem, oddychał swobodą.

Dziś musiał Jasiek ruszyć ku tym dolinom, na których leżały grube mgły, ku tym równym, dusznym dolinom.

## II.

Upłynęły dwa miesiące, jak Jasiek poszedł do wojska. Nie było mu tak bardzo źle, bo był zręczny i sprytny, ale tęskniło mu się do gór kochanych, do rodziców, do Marysi, do swobody.

Jednej nocy, cichej i jasnej, w początkach grudnia, stał na warcie na „Kopcu“. W dali rysowały się w konturach ostrych Tatry na ciemnym tle niebieskiem; już śnieg srebrzył ich wierzchy i ubocza. Z karabinem na ramieniu stał żołnierz nieruchomo i patrzył ku nim: tam jego kraj, jego życie, jego Marysia kochana...

Z południowego wschodu wiał łagodny, ale mroźny wiatr; ten sam wiatr zwiewał śnieg z turni, kołysał borami smereków i buków, szeleścił liśćmi jaworu zielonego przy chacie Marysinej. Jaśkowi zdawało się, że w szumie tego wiatru słyszy głos gęślików Sabadowych, przeciągłe śpiewy juhasów i hukanie dziewcząt po halach i dzwonki śpiżowe bydła; szelest liści kasztanów, które rosną w twierdzy na kopcu, zmienił mu się w imaginacyi w szmer liści starego jaworu z nad chaty Marysi. Wciągał w siebie powiew tego wiatru od gór, jakby w nim chciał swoje czyste powietrze odnaleźć. Marzył: widział się ze strzelbą w ręku gdzieś w wysokich, urwanych, wiszących ponad przepaściami turniach w pogoni za kozicami; to znowu na zielonej polanie przy bydle. Tak tam było jasno, słońce takie złote oblewało góry, tak tam było wesoło od śpiewu i swobodnie poza lasami i rzekami. Przypomniały mu się te noce letnie, jasne i ciche, których poważny uroczysty spokój przerywały tylko od czasu do czasu dzwonki; w szałasie koło ogniska siedzieli juhasi, widział ich wszystkich: Maćka starego bacę, Bartka, Staszka i juhaski Hanusię, Jagusię i swoją Marysię serdeczną; a nad ich głowami strzelały w górę takie skały granitowe, a nad temi skałami niebo się rozwieszało jakieś bliższe ziemi, niż na dolinach.

Nieraz w szałasie tak tańczyli wesoło: zdawało się Jaśkowi, że słyszy ostre tony Bartkowych skrzypców, w uszach brzmiały mu piosnki pasterzy. A czasem siedli koło ogniska i słuchali gadek starego bacy o zaklętych skarbach, o dziwożonach, o brodatych mnichach, co się koło Morskiego Oka przechadzają nocami, o „hetmanie“ zbójcekim Janosiku. Gdy wiatr zaświszczał silniej w szparach szałas, Marysia przytuliła się ku Jaśkowi z trwogą przed tym światem nadludzkim, góry napełniającym. A czasem taka burza przyszła, że się drzewa łamały, pioruny utracęły całe turnie, a od grzmotów drżały góry; ale potem znów było jasno, cicho i swobodnie.

Swobodnie było; nie było ani ciasnych murów kasarni, ani kaprali, ani służby ciężkiej. Wiatr z ojczystej strony, zmrożony w srebrze śniegów tatrzańskich, szeptał mu w ucho: „Tam tak dobrze w górach, tam wesoło, tam Marysia.“ Liście kasztanów mówiły mu: „Rzuć karabin, uciekaj. Tyle lat przed tobą ciężkiej niewoli..“ Ale w tej chwili przyszedł mu na myśl sen pod jaworem, Janosik pod szubienicą i on sam w okowach. Ucieknie? To go złapią i w areszt wpakują. A wiatr z ojczystej strony szumiął mu: „Tyle lat przed tobą ciężkiej niewoli... od gór daleko... od Marysi kochanej daleko... Lepsza śmierć, niż niewola..“

W dali białe Tatry malowały się na jasno w złocnem gwiazdami tle nieba, jego góry rodzinne, umiłowane; wiatr wiał od nich cichy, mroźny, jak powietrze, z którego pochodził..

Jaśkowi zrobiło się dziwnie smutno i tęskno. Niewola tak ciężka, tęsknotą tak silna! Przyłożył lufę do piersi, pocisnął cyniel: huknął strzał i kulą przez pierś przeszyty padł syn Tatrów srebrnych i borów smerekowych.

Nad nim jasne od gwiazd niebo się rozwieszało; tam, daleko bielily się góry. „Mój Boże — szepnął — świat taki pikny, séroki, a mnie juz nic do niego..“

Kiedy zaalarmowani żołnierze przybiegli, znaleźli Jaśka zimnego i sztywnego; pochowano go w niepoświęconej ziemi, bo za bardzo tęsknił.

Kiedy w czas niedługi stary, zielony jawór z nad Marysinej chaty runął rozdarty piorunem, śpiewali górale, rąbiąc jego konary:

„Pogniły jawory i limbowe lasy,  
Kany się podziały nase dobre casy?“

---